Rok 31. Kraków, dnia 1 Czerwca 1899 r. Nr. 11.

Pojedynczy Nr. 20 ct.

DJABEŁ

Pojedynczy Nr. 20 ct.



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem:
Redakcji lub Administracji Kazimierz Nr. 23 w Krakowie
Rękopismów nie zwraca się, ale bywają niszczone.

W umieszczaniu ogłoszeń pośredniczą wszystkie agencye czasopism w kraju i zagranicą.

Przedpłata kwartalna:
W Krakowie
z przesyłką poczt. . . . złr. 1.10
w Niemczech . . . . marek 2.—
w Ameryce rocznie dolarów 2.50
w Francyi kwartalnie franki 3.—

Czasopismo satyryczno-humorystyczne, illustrowane.

Car znosi Sybir!

Zagrzmijcie trąby, puzony!
Wieszcze! sławcie imię cara!
Niech zabiją serc miljony:
Zniesiona Sybiru kara!

Już odtąd żaden polski patryjota
Nie będzie krwią swą śniegu Sybiru czerwienił,
Nie będzie kopał sybirskiego złota, —
Car losy jego odmienił.

Jeżeli Polak w te ziemie zabłądzi,
To z własnej woli, —
Już sąd na Sybir go nie osądzi,
Car na to nie zezwoli.
I pozostaną tylko bielejące kości
Rycerzy Baru;
I tych, co Kościuszki bronili sztandaru:
I tych, co szli do wolności
W listopadową noc:
I tych, co moskiewską chcieli zdławić moc
W styczniowe dni...
Już zorza północna, co lśni
Nad lodów światem,
Nie obleje swym szkarłatem
Trupów okutych w kajdany.
I już do Pana nad Pany
Nie wzniesie rąk z puszystej bieli
Żaden ginący Anhelli.

Odtąd Polaku za miłość wolności,
Za serc porywy,
Będziesz już tak szczęśliwy,
Że w zwykłych kazamatach złożysz swoje kości.
Już cię nie zmrozi sybirska zima,
Ni cię rozgrzeje sybirskie lato,
Ty będziesz siedział za kratą
Wodząc po ścianach oczyma;
I nie uczujesz już zapachu wiosny.
Ani nie ujrzysz błękitnego nieba,
Tobie widoku nie trzeba
Ni różowego kwiecia, ni zielonej sosny.
Car w swej łaskawości
Rzecz całą uprościł:
On ci sybirskiej wolności,
Błękitu nieba nawet pozazdrościł.
Żyć odtąd będziesz w ciemnicy
W kajdany skuty —
I tylko skrzyp szubienicy
I tylko świszczące knuty
I echa kaźni złowieszcze
Dadzą ci poznać, że żyjesz jeszcze.

Zagrzmijcie trąby, puzony!
Wieszcze! sławcie imię cara!
Niech zabiją serc miljony:
Sybiru zniesiona kara.

Dumanie p. Walentego.

A no jedzie ci panie ze Lwowa zaprzeczenie za zaprzeczeniem. Gadali panie. a nawet pisali ci panie. że jest dziura w funduszu propinacyjnym, a tu znowu. że pan Kazimierz Badeni ma ci jakiś weksel na miljon we lwowskiej Kasie Oszczędności, a to znowu, że jasne pany nie popłaciły strat z wystawy, i że pokryto je panie z cudzych pieniędzy — i wiele innych rzeczy gadano panie, ale to już takich, że wstyd byłoby pisać o nich panie Ale teraz znowu piszą i drukują: nieprawda! A no, dałby Pan Bóg, aby to wszystko było nieprawda, ale jak tu człek ma tak odrazu uwierzyć panie, kiedy już tyle razy obełgano go panie. Pisano po gazetach: kradną we Florjance — i zaraz panie pan Męciński zaklinał się panie na wszystkich swych hrabiowskich przodków (a miał ich panie pono 3000) i na swój honor, że nieprawda! A w tydzień potem drapnął Czesławek — i słowo hrabiowskie poszło w kawki. A potem panie jak się zrobił ów run na lwowską Kasę, to ci zaraz wszystkie gazety pisały panie zaprzeczenia i ze strony rządu było uspakajanie panie — a tu znowu za tydzień pokazało się, że śmierdzi i to grubo panie. A z owym Bankiem kredytowym? no, to już bodaj najgrubsze świństwo panie, bo tu panie ze wszystkich stron szły zaprzeczenia. Już nie jakieś podejrzane hrabiowskie, ale prawdziwe książęce słowo dawał książę Sapieha, że wszystko panie jest w porządku — zrobiono nawet rewizją ze strony władzy panie, i znów było: alles gut — a za miesiąc panie Bank kredytowy kaput panie! Otóż takie ćmienie panie nigdy nie wychodzi na zdrowie, bo kto się panie na gorącem sparzy ten na zimne dmucha i nie dziwota, że dziś nikt nie wierzy zaprzeczeniom panie....

Już ci się tyle tych świństw naszych namnożyło panie, że ci je nawet w teatrze pokazują. Chociem się odrzekł teatru panie, ale ci mnie skusiło w sobotę, bo przychodzi wnuczek i mówi: proszę dziadzi, dziś w teatrze będzie sztuka o Kieszkowskich. Wybrałem się tedy panie na onych „Skwaszonych“ czy „Pogaszonych“, bo już dobrze nie pomnę panie. Słucham, a tu panie rehabilitacja onego Czesławka. Pan Roniker, autor onej sztuki, dowodzi ci panie, że jeżeli Czesławek okradł panie Florjankę (a co innych nakradł, to nie mówi panie), to ino z nieszczęścia, z trosk domowych panie. Jenszy jak ma mola panie, co go gryzie, to się panie urzyna, a jenszy to kradnie panie — tak ci gada panie ten pan Roniker. Bo Czesio panie, to był zacny mąż, dobry ojciec, przykładny syn, a taki ci panie moralizator, że przy nim kiep pan Koźmian panie. I tak ci go panie serce „wzięło“, że musiał aż drapnąć do Pesztu, gdzie go panie znaleść nie mogą, jako to ten Peszt jest o tysiąc mil panie, het za Ameryką, a nijakiej policji tam niema panie...

Ale nie zdaje mi się panie, aby ten pan Roniker pisał prawdę panie. Jest ci w tej sztuce panie drugi bardzo szlachetny jegomość, a nazywa się Szarłowski. Ten ci przez szlachetność, mając grube pieniądze panie, ostał urzędnikiem Florjanki, kontrolorem i choć bierze pensją panie (co innemu zdałaby się panie) nic nie kontroluje, pozwala kraść panie — a pensję furt bierze. Ten ci szlachetny pan, romansuje z mężatką, matką dorosłych dzieci, no i jest powodem całego nieszczęścia — a wszystko przez to, że jest bardzo szlachetny panie.

A jest tam i trzeci taki szlachetny, jakiś Szyrski. Kocha się w nim taka panie ładna dziewczyna jak nieprzymierzając panna Przybyłko i on ją panie kocha, aż mu się uszy trzęsą — ale kiedy w rodzinie jego ukochanej zrobił się skandal panie, to on już o żeniaczce ani dudu, a ino mówi do swego „anioła“: żyjmy ze sobą na wiarę. Tfu! z takimi szlachetnymi, z takimi uczciwymi panie! A toż to obwiesie, oczajdusze panie. A jeżeli porządni tak robią panie, to cóż będą robili szubrawcy panie?

A jednak kto wie panie, czy ten pan Roniker nie wziął na nos naszych krakowskich okularów panie—i czy nie dlatego patrzy tak pobłażliwie na świństwa panie. Bo to „porządny człowiek“ u nas w gadaniu ludzkiem, a porządny człowiek naprawdę — to często panie w niczem nie są do siebie podobni.

Jak kto się panie łajdaczy z mężatkami, uwodzi dziewczyny — to się mówi o nim: no, wesoły chłop, trochę kobieciarz, ale porządny człowiek. Jak kto bierze łapówki na prawo i na lewo, ale prowadzi „dom otwarty“, funduje panie — to mówi się o nim: sprytna bestja, zdolna głowa, porządny chłop panie. Wszyscy wiedzą, że R. okradł brata, S. oszukał sieroty, T. sprzedał się za pieniądze lub urzędzik, W. miał „przypadek“ z jakimś testamentem, X. wygrał majątek w karty i to w „znaczone“ karty, Y. pożycza na lichwę, Z. tak prowadził interesa bogatemu przyjacielowi, że przyjaciel chodzi bez butów, a Z. jeździ karetą —wszyscy to wiedzą, a jednak R. jest prezesem, S. radcą, T. dyrektorem itd. a na te wszystkie stanowiska powołało ich „zaufanie obywateli“. I nikt na nich nie plunie panie, a każdy kłania się nisko p. radcy, ściska pana prezesa. I to się nazywa opinja publiczna. Że „publiczna“ to być może, ale nie opinja panie.

Tfu panie!

Kwestya miłosna.

On. Co pani uczyni, jeżeli serce moje złożę u jej stóp?

Ona. Poradzę panu włożyć je do kosza który panu mogę ofiarować w każdej chwili.

* * *

Graf Tarnowski, pan na Szlaku,
Targowickich krewny panów,
Z butą zwykłą stańczykowską
Kopnął polskich weteranów

Jak mu na to odpowiedzieć?
Ktoś radzi, by sztandarowy
Gwóźdź, którego nie chciał przyjąć,
Do przemądrej wbić mu głowy.

Protestuję! bo ta rada
Bardzo, bardzo jest spóźniona.
Po co wbijać gwóźdź w tę głowę,
Co już dawno zagwożdżona?

A pan prezes weteranów
Niechaj wstyd ten choć odczuje,
Że chciał lizać taką rękę,
Co na bój męczeński pluje.

Więc choć brzydka cała sprawa,
Zawsze płynie z niej nauka:
Słusznie po łbie ten dostaje,
Co bezwstydnie guza szuka.

Na wystawę pracy Kobiet nadesłano między innemi:

Regina Załebdrzyjska. Pantofel „samobijec“, używany ze skutkiem po spóźnionym powrocie męża z resursy.

Siostry Fifoklockie. 10 języków spracowanych w sprawie wyboru dyrektora teatru krakowskiego.

Józefa Modnicka. Klucz do otwierania kasy mężowskiej.

Anna Trzepałkowska. Najlepszy przepis do robienia plotek bez przyrządów i na poczekaniu.

Cecylja Bzikowska. Okaz 15-letniej panienki, która za pociągnięciem sznureczka paple przez godzinę po francuzku, a nie umie pisać ortograficznie po polsku.

Filomena Pragnąca. Szczoteczka do strzepywania zastarzałego panieństwa.

Kunegunda Doświadczyńska. Patentowany „chwytacz“ serc kawalerskich ze szczegółowym opisem.

Taż sama. „Wskrzesiciel“ czułości małżeńskiej z nadymaczem.

Jadwiga Delikacka. Łapka na pchły z gilotyną.

Eulalja Tęgogębska. Słownik wyrazów archaicznych, wyszłych z użycia, a mogących się przydać podczas nieporozumień małżeńskich.

Julja Gospodzka. Prosię, które kupiła sobie baba, nie mając kłopotu.

Eufrozyna Dewotkiewicz. Liczydło, ułatwiające rachunek sumienia.

Doświadczony ojciec

Ojciec. (do pana który mu wyratował córkę z topieli): Młodzieńcze! bierz mą córkę za żonę!! Widziałem cię w opałach i widzę że masz dosyć odwagi!

IDYLLA WIOSENNA.

Ranek był majowy — jasny,
Pełny czarów — woni kwiatów
W zbożu polnych rój bławatów
Chylił się błękitem krasny.

Z moją drogą popod ramię
Wchodzę w lasu cień uroczy,
Przed jej stopą ciernie łamię,
I z miłością patrzę w oczy!

Serca biją niby dzwony...
A dłoń miękko dłoni szuka
Hen z oddali — z tamtej strony
Kukułeczka cicho kuka.

W duszy naszej taki spokój,
Jakby żyli w niej anieli
Hej kukułko, wyprorokuj
Ile będziem dzieci mieli.

Ptaszę kuka — zapłoniona
Moja luba liczy z śmiechem
Cudna róża u jej łona
Zwiesza listki pod oddechem.

Kuku! kuku! lube ptaszę —
Kuku! kuku! słyszysz droga
Kuku! kuku! szczęście nasze,
Kuku! kuku! chwila błoga.

No! ptaszyno, dosyć będzie,
W uszach dziwny zamęt czuję,
Lecz kukułka w ciągłym pędzie
Bez ustanku kuje... kuje.

W końcu zgadzam się z ptaszyną
Z rezygnacyą patrząc w koło,
Moja droga z dziwną miną
Ciągle śmieje się wesoło.

Co? ty śmiejesz się w tej chwili,
I radością oko świeci?
Jakżeż my będziemy żyli,
Mając tyle... tyle dzieci.

Wtedy moja żonka biała
Wzrok zwracając na mnie dziwny
Z śmiechem do mnie wyszeptała:
„Mężu! jaki ty naiwny!!"

Hazet.

OGŁOSZENIE.

Król. stoł. m. Kraków ogłasza niniejszem konkurs na posadę prezydenta z pensją 9000 złr. rocznie, które wolno będzie wybranemu zamienić na 18,000 koron.

Kandydaci powinni się wykazać:

a) znajomością języka polskiego i żargonu żydowskiego tak w słowie jak i na piśmie.

b) świadectwem ukończenia przynajmniej 4 klas gimnazjalnych.

c) świadectwem moralności i szczepionej ospy.

Prócz tego powinni posiadać:

a) lat conajmniej piędziesiąt,

b) znajomość stosunków miejskich taką, jaką posiada dotychczasowy prezydent,

c) wymowę równą conajmniej wymowie ś. p. Hausnera,

d) energię ś. p. Zyblikiewicza,

e) powagę ś. p. Dietla,

f) łagodność i wyrozumiałość dla obywateli izraelickich,

g) stałe przedsięwzięcie bronienia interesów chrześcijańskich,

h) uniżoność wobec władz państwowych,

i) umiejętność utrzymania godności autonomji krajowej,

k) znajomość prawa, teologji, hygjeny, historji, budownictwa, inżynierji, buchalterji, sztuki, teatru, archeologji, literatury, weterynarji i t. d. i t. d.

l) uprzejmość dla płci pięknej,

m) strawny żołądek —

n) ujmującą powierzchowność.

Resztę wymagań i inne bliższe warunki znajdą kompetujący w kontrakcie uchwalonym przez Radę miejską; a znajdującym się do przejrzenia w magistracie. Ostateczny termin do zgłaszań się 15 czerwca.

RECEPTY
na „nasze" choroby.

Lwowowi:

Rp.

Honestatis vulgaris . .	39.00
Kridae do rachowania .	30.00
Olei ricini na przeszłość.	31.00
Academiae handlitatis .	17.00

D. S. 15 razy na dzień przez 3T5 dni. Do rąk wszystkich instytucyj finansowych.

Krakowowi:

Aque viaductalis . . .	15.00
Repertoaris teatralis . .	10.00
Guttae antipoliticae . .	60.00
Aquae do zlewania ulic .	resztę.

D. S. „W chwilach ociężałości" tj. stale do skutku.

Galicyi:

Industriae urbanae et rusticae	1200.00
Civilisationis generalis . .	500.00
Antisobćovitatis	200.00
Bonarum chęciarum . . .	100.00

D. S. Wewnętrznie flaszkami, zewnętrznie jako plaster na całe ciało, wszystkim gratis i przemocą.

Kropki.

Raz siedzieliśmy we dwoje,
Był to wieczór — ponad nami
Zwieszały się bluszczu zwoje,
Przeplatane gwiazdeczkami;
Żaden gwar nie mącił ciszy —
Ja upadłem na kolana,
Sądząc, że mię nikt nie słyszy
I szepnąłem jej: „Kochana!..."
Chciała zerwać się spłoniona,
Lecz zawiodły chwiejne stopki,
I upadła w me ramiona!...
(Tutaj następują... kropki...)

x

Dumanie dziada na Bielanach.

Przyszli ludziska w rzeszy na odpust
I na zabawy różne,
Nie widząc dziada, co pod kościołem
Uprasza o jałmużnę.
A dziad choć ubogi, chromy, kaleka,
Pogląda wciąż oczyma
I widzi co jest w onym narodzie —
I widzi czego nie ma.
Bieda z bogactwem tutaj pospiesza
Wielką narodu rzeszą,
Państwo powozem, końmi przyjadą,
A szewcy przyjdą pieszą.
Przyjdą zwyczajne, przyjdą pobożne
I miłosierne dusze,
Dadzą grosz jaki, aby okupić
Czyścowych mąk katusze.
Przyjdą też ludzie, jako liść, kiedy
Po drzewach wiatr zawieje,
A dziad z nich zysku ma ledwie tyle —
Co się trochę uśmieje.
Oj ty panienko chodzisz samotna,
Gdzie kręci się karuzel,
Choć się udajesz za pokojówkę,
Dziad widzi, — żeś marmuzel.
Ty na huśtawce — kucharko słowom,
Wojaka dajesz wiarę,
Lecz jakem ja dziad, on tobie tylko
Zawraca wciąż gitarę.
O jasna pani, coś się ubrała
W świecidła i atłasy,
Chyba przez męża tu przyjechała —
Takie to teraz czasy.
Ty paniczykn — co się udajesz
Za majstra choć szewckiego,
Oj nie zalicaj się natarczywie —
Bo cię co spotka złego.
Chodzieś się ubrał jak kamienicznik,
W żakiecik całkiem nowy,
Poznają cię też ludziska zaraz —
Żeś złodziej kieszonkowy.
I ty, coś sobie przyszedł pohulać,
Przez dzieci i przez żony,
Dziadek też widzi, iż ci od wódki
Nos zrobił się czerwony.
A ty z laseczką, ze śklem na nosie,
Chociaż zadajesz szykiem,
Każdy dziad pozna, żeś ty nie hrabią,
Tylko, żeś ty kupczykiem
Tędy i tędy, kędy dziad zwróci,
Chociaż i ślepe oczy,
To wszędy widzi jako ten naród —
Od wszelkiej prawdy boczy.
A jako za to ów naród dziwny,
Co zna utrapień mnóstwo,
Robi okpistwo, byle osłonić
Wszelakie swe ubóstwo.
Więc też choć ludzi jak liści, kiedy
Po drzewach wiatr zawieje,
To dziad z nich zysku ma ledwie tyle,
Co trochę się uśmieje.

J. Z.

Mądry pies.

— Patrz pan, co to za mądry pies, ten mój Nero! Z przodu wyje, bo dostał bicie, a z tyłu kiwa ogonem, z radości, że już minęło...



W politycznej golarni

(Obrazek z niedalekiej przyszłości, jeżeli „bracia Słowianie zdołają żyć z sobą w zgodzie).



Glikson. A iż cię nie opuszczę, aż do śmierci...
Kotarbiński (poprawiając). Do sześciu lat.
Prezydent. Róśccie i rozmnażajcie... Was, którzy tu jesteście, biorę za świadków...
(Świadkowie: **Bartoszewicz** i **Paszkowski** z wielkiego wzruszenia zmienili się nie do poznania).

Bandrowski. O moje losy!
(Wyrywa włosy)
Intrygantko babo!
(Robi mu się słabo).

Nowy dyrektor teatru.

FANTAZYA.

Rzecz dzieje się w sali obrad rady miasta.— Godzina 5-ta popołudniu.

Osoby działające:

43 członków rady (bez radcy Paszkowskiego), pan Kotarbiński, pani Kotarbińska, dr. Bandrowski, pan Glikson. Galerya zapełniona. Pp. Przybyszewscy, filistrzy, nastrojowcy, dekadenci (w lachmanach), klub satanistów, redakcya „Życia“, Swierzyński, aktorzy, „Harmonia“, dziennikarze, oraz różni pretendenci do godności dyrektora jak pp. Roniker, dr. Cybulski, Asnykowicz, German, Armółowicz i kilka równie znakomitych osób. Dekadenci popijają absynt.

Na sali redakcye „Czasu“, „Reformy“, „Głosu Narodu“.

Pod oknami rady Ignac ze sztabem wznoszą dzikie okrzyki, wznosząc w górę tablice z podpisami: „1 godzina pracy“ i „Wiwat Stojałowski, przyszły dyrektor teatru!“ Zamięszanie.

Na sali gorąco dochodzi do 120° Fahrenheita. Niektórzy mdleją. Przed gmachem 2 wozy ratunkowe.

Prezydent. Otwieram posiedzenie! (radcy zajmują miejsca).

I. partya. Wiwat Kotarbiński! (pp. Kotarbińscy ściskają ich za ręce).

II partya (nieliczna. Wiwat Bandrowski! (Bandrowski ściska ich za ręce, obiecując w razie wyboru, wyrywać im zęby bez bólu, po zniżonych cenach).

Socyaliści (pod oknami). Hańba!!!

Prezydent. Otwieram posiedzenie! Proszę o spokój!

Socyaliści. Hańba! (śpiewają „Czerwony sztandar“, „Głos Narodu“ skrzętnie to notuje.

Prezydent. Przystępujemy do wyboru dyrektora na dalsze 6-lecie! (ogólne poruszenie).

Pani Kotarbińska. To mój mąż!

Sataniści, dekadenci, nastrojowcy. Wiwat Kotarbiński!

P. Rotter. Niech żyje Bandrowski!

Bandrowski (płacze, przyrzekając głośno wystawić „W otchłani niebytu“. Usłyszawszy to pp. Allardon, znajdujący się na galeryi, pospieszają z podziękowaniem, obiecując za nim głosować. Bandrowski wzruszony do głębi, plombuje jednemu z nich ząb w dowód wdzięczności).

Przybyszewski. Kotarbiński!

Kotarbiński (spogląda tryumfująco na Bandrowskiego).

Rotter (pokazuje Kotarbińskiemu na palcach figę. Ogólne zamięszanie. Oklaski).

Socyaliści. Hańba!

Prezydent. Proszę do skrutynium panów: radcę Schmidta...

Brandowski (z galeryi). Co? Opiszę ja to w „Humoryście“. (Wychodzi wzburzony).

Socyaliści. Hańba!

Daszyński (rozpoczyna mowę, której nikt nie słucha).

Wiele głosów. Precz ze Schmidtem! (tłumy cisną się do urny. Zamęt. Pani Kotarbińska cuci zemdlonych, rozdając największej wzburzonym swą broszurkę „Orzeszkowa u siebie“. Friedlein chowa się za prezydyalny fotel. Straż ogniowa zlewa wzburzonych wodą z nowo założonych wodociągów.

Prezydent (z za fotela). Któż więc chce być przy skrutynium!

Wiele głosów. Ja! Ja!

Daszyński. Hańba! V-ta kurya ma tylko głos!

Socyaliści. Wiwat Daszyński!

Kilku radców. Przystąpmyż raz do wyboru!

Galerya. Do wyboru! Do wyboru!

Woźni (wpadają). Panie prezydencie!

Radcy. Precz!

Woźni. Panie prezydencie! Panie prezydencie!

Prezydent. Cóż tam takiego? (dzwoni).

Woźny II-gi. Tłum ludzi się zbliża! Wyważają bramy. Proszę o głos!

Wszyscy. Któż to taki?!

Głos radcy Paszkowskiego (pod oknami). Puszczajcie!

Radcy. To radca Paszkowski! (powstają).

Harmonia gra poloneza poczem do sali wchodzą p. Pawlikowski, p. Passzkowski, p. Bednarzewska, p. Górska, p. Pomian, Jeremi, Wisłocka i t. d. w otoczeniu członków tow. „Jagelonia“ i filistrów. Wszyscy wydają okrzyki: „Niech żyje Pawlikowski!“ Na galeryi Swierzyński organizuje chór do wykonania stosownej kantaty. P. Pomian wygłasza dłuższy poemat utworu Szukiewicza, którego treścią jest prośba, aby p. Pawlikowski został dyrektorem teatru.

Aktorzy. Panie prezydencie! Odpowiedz!

Prezydent (milczy. Kotarbiński ocucony, nie tracąc jeszcze nadziei, deklamuje na przemian „Smutno mi Boże!“ i „Eviva l'arte!“)

Pawlikowski. Nędznicy! (odchodzi wzburzony, za nim artyści płci obojga).

Szukiewicz (dyryguje, na galeryi chórem satanistów, intonujących „Czerwony sztandar“).

Prezydent. Czy panowie radcy przystają na głosowanie?

(Radcy godzą się. Głosowanie rozpoczyna się. Na galeryę tymczasem przynosi Turliński parę konewek absyntu dla dekadentów, oraz dla redakcji „Życia“).

Pani Kotarbińska. Boże! Pozwól, by wybrano mego męża, a ślubuję Ci, że pieszo pójdę choćby na Kamczatkę.

Bandrowski. Ja poszedłbym i do Ameryki.

Kotarbiński (do radców). Przyrzekam wam dać 10 przedstawień rocznie dla przekupek z Małego rynku.

Bandrowski. A ja dla dziadków z towarzystwa dobroczynności!

Galerya. Wiwat!

II-ga partya. Niech żyje Bandrowski!

Socyaliści. Niech żyje Daszyński!

Przybyszewski (do Kotarbińskiego). To wystaw lepiej sztuki twojej i mojej żony. To arcydzieła!

Wyspiański. To już i moje!

Kotarbiński (rozpromieniony). Dla was wszystko!

Radcy. Nie, nie! Przybyszewskich i Wyspiańskiego, według wniosku Bartoszewicza, wolno grać tylko na umartwienie w wielkim tygodniu.

Galerya. Wiwat!

Pani Kotarbińska (spieszy na galeryę pocieszać Rydla i dekadentów, zapraszają ich na kolacyę).

Sataniści, dekadenci. Kotarbińskiego chcemy na dyrektora!

Wyspiański (mści się na radcach, malując na ścianach rady witraże. Woźni wynoszą go z galeryi).

I-sza partya. Wiwat Kotarbiński!

II-ga partya. Wiwat Bandrowski!

Przybyszewski. Dajcie pięknа!

Radcy. Skończmyż raz z tem skrutynium! Skończmyż raz z tem głosowaniem! Już noc nadchodzi!

Przybyszewski. Mnie tu dobrze!

Sataniści. I nam też.

Glikson (który dotychczas agitował na galeryi, zbiega na dół). I cóż? I cóż?

I-sza partya. Pewny Kotarbiński!

Glikson (biegnie doń). Drogi dyrektorze! Ja zawsze z tobą!

II-ga partya. Wiwat Bandrowski! On dyrektorem!

Glikson (biegnie doń). Najdroższy konsyliarzu! My razem ręka w rękę!

(Radcy z trudem przeciskają się do urny, rzucając głosy. „Głos Narodu“ nie może nadążyć z notowaniem. Sprawozdawcy, między niemi i Minos, mdleją. Jejde przychodzi mu z pomocą. Redakcya „Czasu“ śmieje się szyderczo. Szukiewicz kręci się rozgorączkowany, czekając końca głosowania).

Pani Kotarbińska (z tryumfem). Mój mąż dyrektorem!

„Głos Narodu“. Zobaczymy!

„Reforma“. Neutralność przedewszystkiem!

„Czas“. Niechże będzie Kotarbiński!

(Sataniści, dekadenci i redakcya „Czasu“ toastują. Między niemi uwija się Glikson).

Sekretarz. Głosowanie skończone!

Pani Kotarbińska. Ach!

Kotarbiński (deklamuje wyjątki z „Hamleta“)

Bandrowski. Teraz chwila rozstrzygająca!

Glikson. Kto też dostanie?!

Prezydent. Proszę o spokój!

Socyaliści. Hańba!

(razem)

Prezydent. Ogłaszam wynik głosowania!

Wszyscy. Słuchajcie! (ogólne naprężenie. Przybyszewski obudziwszy się słucha).

Prezydent. Na 43 radców głosujących, 33 głosów otrzymał...

Bandrowski. Ja!

Prezydent... pan Kotarbiński, a głosów 10 p. Bandrowski!

Bandrowski (mdlejąc). Dosyć! Dosyć!

Kotarbiński. Więc to ja? O radości!

Pani Kotarbińska. Mężu mój, mężu! (ściska go).

Glikson. Kochany dyrektorze! (ściska go).

Galerya (pije, wydając razem z socyalistami okrzyki radości.

Świerzyński komponuje na prędce kantatę, którą solo wykonuje, Wyspiański pisze dramat i robi portret Gliksona i Kotarbińskich.

(Rodzina pp. Kotarbińskich wznosi tryumfalne okrzyki, prócz Pawlikowskiego, który próbuje się otruć. Szukiewicz wybiega w zachwycie na ulicę, wołając „33 przeciw 10!" zostaje jednak aresztowany).

Prezydent. Posiedzenie zamykam!

Radcy. Wiwat! (poczynają się rozchodzić).

Kotarbiński (przyjmuje życzenia. Na salę wchodzi Rydel w laurowym wieńcu, otoczony słuchaczkami kursów im. Baranieckiego i winszuje mu. Roniker i Asnykowicz włożywszy monokle, piszą na gwałt sztuki na inauguracyjne przedstawienie. German angażuje się jako komik do krakowskiego teatru).

Wszyscy. Ale gdzie pani Kotarbińska?

Woźny (ukazując przez okno. Tam! (oczom zebranych ukazuje się pani Kotarbińska idąca w sandałach i włosiennicy na Kamczatkę. Towarzyszą jej filistry).

Kotarbiński. A zatem proszę wszystkich na kolacyę! (zabierają się do wyjścia. Pp. Ulanowska i Siedlecka zbierają u drzwi składki na Szkoły w Białej i na Wawel, które radcy ze zgrzytaniem uiszczają. Przybyszewski czyta głośno „Wigilie", tak, że kilka osób mdleje ze wzruszenia, dla ocucenia ich czyta swoje „Satans Kinder". W końcu wynoszą go woźni, za nim wychodzą sataniści i dekadenci).

Bandrowski (z boleścią). O czemuż rozstałem się z Hellerem! (rozdaje kilku obecnym jeszcze osobom bilety wizytowe z napisem „Dr. Bandrowski, ordynuje od 3-5, wyrywa zęby bez bólu", poczem wychodzi, nad głową zaś jego ukazuje się aureola.

Kraków 22 maja 1899.

Na Szczepańskim placu.

— A gdzie spieszycie panie Macieju?

— Idę do sądu zaskarżyć tego łotra Wilczykiewicza. Wyobraź pan sobie śmiał mnie nazwać baranią głową.

— Ej, na miejscu pańskiem, to jabym tam skargi nie wnosił.

— A to dlaczego?

— Bo to taki przewrotny człowiek! może jeszcze dowieść, że miał racyę i wtedy będziesz pan dopiero zblamowany!...

PIOSENKA.

Kocham was drogie pola, łąki, gaje,
Ciche jeziora, szemrzące ruczaje:
Bo naszej Polski jesteście ozdobą!
Bo na was patrząc, czuje się człek sobą!

Choćbyś był z sobą w największej rozterce,
Choćby ci z bolu zamierało serce,
Gdy spojrzysz na nie, raźniej ci na duszy,
I serce jakoś raźniej się poruszy.

A spojrz-no rankiem hen ku wschodniej [stronie,
Jakto tam w dali jasna łuna płonie:
Jak to obłoczki o barwach tęczowych
Rzucają snopy iskier djamentowych:
Jak wreszcie tarcza słońca niezmierzona,
Niby dziewica wstydem okraszona
Z śród mgieł wypływa i błyska ci w oczy!
Czyż ci i wtenczas serduszko nie skoczy?

A kiedy słonko zbiwszy się już w górę
Spojrzy radośnie na swą ziemię-córę:
Gdy chóry ptasząt koncert swój rozpoczną
Piosenkę żwawą, wesołą a skoczną:
Gdy lekki wietrzyk pomuska topole,
Rozczesze brzozy i ucieklszy w pole,
Ruszy z nienacka falą zbóż zroszoną,
Lub pocznie igrać z łąką ukwieconą:
Czyliż na tobie ty mój bracie młody
Nie zrobią wrażeń te cuda przyrody?

A gdy wieczorem o samym zachodzie
Czerwone słonko przejrzy ci się w wodzie
I schodząc zwolna za lasy za góry,
Pozostawi ci całe gwiazdek chmury
Na firmamencie cudownego nieba.
Powiedz mi bracie, co ci więcej trzeba?

Czyli słowika, co ponad wodami,
W gąszczu ukryty, spiewa ci nocami?
Czyli rechtania tłumu żab w moczarach?
Czy też po mglistych mknącego oparach
Starego drucha tej ziemi — księżyca,
Co również piękny, jak jego siostrzyca?

A cóż ty powiesz, gdy po kroplach rosy
Zlecą ku tobie fujarek odgłosy:
Gdy cię woń czeremch owionie dokoła,
Gdy cię na „Anioł Pański" dzwon zawoła:
Czyliż nie westchniesz gorąco do nieba
Z myślą, że ci już nic więcej nie trzeba?!

A gdy znów rankiem natura się zbudzi,
Ujrzysz znów pola i drzewa i ludzi
I łąk kwiecistych przepyszne kobierce:
I znów się twoje rozraduje serce!

Ujrzysz tę Wszechmoc Boga Stworzyciela,
Co nam swych darów tak szczodrze udziela:
Natura cała chórem ci zanuci:
Że dając wszystko, Bóg i Polskę wróci!

Jullusz.

NIESPODZIANKA.

Cudowną była i zachwycającą,
Usta jak koral, szafirowe oczy,
Śliczny kwiat róży tkwił u jej warkoczy
Owiany wkoło włosów strugą lśniącą.

Główkę nosiła zawsze podniesioną,
I dumnem okiem spoglądała zawsze,
I uczuwałem radość nieskończoną,
Gdy mi spojrzenie rzuciła łaskawsze.

Chodziłem za nią jak cień krok za krokiem,
I była dla mnie świętym ideałem
Lecz zawsze tylko w milczeniu głębokiem,
Bo na rozmowę odwagi nie miałem.

Aż raz wieczorem (na wiosnę to było)
O całus piękną poprosiłem Rózię,
Lecz wnet się moje kochanie skończyło,
Bom żądał buzi a dostałem w buzię!!

Hazet.

KRYTYCY NASI.

(Bajka krakowska)

Nie jest to żaden przytyk
Ani złość ukryta:
Był w Krakowie krytyk
Postać znakomita —
Sławny z prac swych licznych,
O dziełach muzycznych —
W prawdzie w stylu suchy,
Lecz dobry — bo głuchy.

A był krytyk drugi
Mąż pełen zasługi,
Poważny, uczony,
Mądry na wsze strony,
Jak rabin z Tarnowa.
Ten pisywał sprawy
Z malarskiej wystawy
I sąd w mądre odziewać zwykł słowa.
Był to reformista rzutki,
Lecz... wzrok miał krótki.

I był krytyk trzeci
Co zawsze nam kleci
Recenzye o dziełach nauki,
Ma brzuszek nie lada,
A jak wieść powiada,
Nęciły go piękne... polędwicy sztuki.
Ten z wielkiemi człek boki,
To miał pogląd głęboki.
Świetnie zawsze pisywał,
Choć nigdy nie czytywał
Ocenianych dzieł, broszur i książek.

Gdzież to było spytacie,
Czy w Japonji, czy w Chinach?
Cóż u djabla czytacie
W poobiednich godzinach:
Dobre wasze gazety:
Toć to ich są zalety
Z tego też sens wynika
Że... jest u nas krytyka.

x.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor *Emil Borkowski*. Druk W. Korneckiego w Krakowie.

Autentyczne urywki

z żywota ś. p. księdza Franciszka Jastrzębiec Żukowskiego.

VIII.

GŁUPOTA.

— Winniście zapamiętać — chłopcy ukochani —
Że z wszystkich polskich przysłów, prawda święta, szczera
Mieści się w zdaniu przodków, zostawionem w dani:
Kogo Pan Bóg chce skarać — rozum mu odbiera!

I rzeczywiście jeśli różne wady nasze
Pośrednio stale szkodzą krajowi polskiemu —
To z nich wszystkich głupota śmiertnych jadów czaszę
Najskuteczniej udziela *w swej woli słabemu.*

Kandydat na szulera — *rozumne stworzenie* —
Częstokroć wykształcone wyżej naukowo,
Mimo, *że rządzić czynem ma zastanowienie,*
Ku świadomej przepaści podąża zmysłowo.

A że nieraz odmiennie z szulerem się dzieje:
Zakładając ponętę, sam w pułapkę wpada,
Przeto zwykle przez losu odmienne koleje,
Zamiast okraść drugiego — drugi go okrada.

Znałem — chłopcy — w swem życiu pijaków z nałogu,
Zamiłowanych duszą w gorzelni wytworze —
I pytałem, dla czego stanęli na progu
Upadku... co ich wiodło nad przepaści morze?

Bo w naszem społeczeństwie czy bal, czy wesele,
Czy zabawa rodzinna, lub interes wszelki,
Czy przyjaciół zebranie... można wyznać śmiele...
Nie potrafią się odbyć bez pełnej butelki.

Z natury rzeczy młodzian do trunków nie skory,
Zmuszony do kieliszków jak rycerz w turnieje,
Sądząc, że w piciu leżą bohaterstwa wzory,
Pomału z niepijących sam drwiąco się śmieje,

I stopniowo przywykłszy do kochanej wódki,
Kontynuje szereg libacyi bez przerwy —
I z wiarą, że ukoi alkoholem smutki,
Coraz lepiej spirytus zapuszcza w swe nerwy.

I jeszcze roczek dalej... za nim dwa... i cztery...
A twarzyczka normalna obrzękłą się staje,
I ręce nabierają trzęsącej maniery,
I nos fioletową powłokę dostaje.

Praca jakoś nie idzie — ruchy ociężały —
Umysł poszedł na spacer w djabelskie bezdroża.
Z domu wszelkie dobytki na wódkę stopniały...
I ot na tem skończona jego życia zorza.

Społeczeństwo podówczas do sądów pochopne,
Nie umiejąc błądzących ze złych zwrócić szlaków,
Patrzy na rezultaty straszne i okropne,
I unika nazwanych przez siebie *łajdaków.*

A ci łajdacy z pośród zatraceńców grona
Co przez wódkę i hazard przyszłość zatracili,
W chwilach oprzytomnienia — *gdy skrócha spóźniona* —
Sami w duchu przyznają, *że głupcami byli!*

Prawo obywatelstwa upadku takiego
Wyrobiła w narodzie niewoli nędzota,
Że dzisiaj do porządku należy zwykłego
Nie licząca się z jutrem społeczna głupota:

Jeśli bowiem głupota w społeczeństwo wnika,
Jeśli i drzewa leśne marnieją bez soku...
To las i społeczeństwo zagłada spotyka —
A tak się właśnie stało w rewolucyi roku:

Najpierwszem głupstwem było *pod zimę powstawać,*
Bo chcąc pobić rząd wraży, wkroczyć należało
Tam, zkąd zbójca zwykł Polsce rozkazy wydawać...
Gdzie mnóstwo ciał francuskich w śnieżycach grób miało

A dalej rewolucja chcąc zniszczyć niewolę,
Winną była obmyśleć zwycięstwo działania,
Ludziom pewnym przydzielić naczelnictwa role,
Doprowadzić zabójczą pychę do skonania.

Tymczasem Chłopickiego gdy w naiwnej wierze
Proszono, aby objął władzę zbrojnych szyków...
Chłopicki odpowiedział dumnie — *ale szczerze:*
Że dowództwa nie weźmie z ręki buntowników!

Wówczas książę Lubecki — *motor pańskiej zdrady,*
Nakłonił Chłopickiego w myśl nędznej natury
Do przyjęcia komendy powstańczej gromady...
I na śmierć przeznaczono rewolucyę z góry!

Mając miecze, bagnety, i lance, i działa,
I siły *zdolne zniszczyć* wrogą sobie nację —
Działalność przodowników na tem się skupiała:
Aby tylko *zamienić wojnę w dyplomacyę...*

Czemże nazwać polskiego Sejmu uchwalanie,
Gdy tenże pod przewodem hrabi Ostrowskiego
Przyzwoliwszy ogólne Polaków powstanie
Czynem owym tak wzburzył wodza Chłopickiego...

Że natychmiast sam złożył władzę dyktatorską,
Lecz gdy *interesownie* i *zdrady pragnący*
Poczęli wykrzykiwać swadą oratorską
O pozbawieniu wodza — gdy wróg wszechmogący...

Do najazdu na Polskę wiedzie roty bure,
A Chłopicki wszechstronnie zasłużył na chwałę —
Więc czemprędzej zwrócono jemu dyktaturę,
Niwecząc ogólnego powstania uchwałę.

Gdy wojska sto tysięcy zaledwie moskale
I armat cztery setki mieli pod Warszawą —
Rząd ówczesny brnąc dalej w bezrozumu szale,
Nie zamierzał się okryć należytą sławą:

Własną kontrrewolucją stłumiwszy powstanie
Sejm szlachecko-magnacki — rząd zeń wysadzony,
Radzi byli, że przez swe mozolne staranie
Mają już opiekunów dla pychy obrony!

Ludzie prawi, szlachetni, władzy pozbawieni,
Załamywali ręce w *głupiem* przerażeniu,
Patrząc jak w zwartych szykach *szubrawcy* skupieni
Na rzeź Polskę wydają carskiemu plemieniu.

Z dwudziestoma tysięcy wybornych żołnierzy
Ramorino mógł jeszcze przybyć do Warszawy,
Mógł orężem zapewnić zwycięstwo Macierzy...
Ale... *coś go wstrzymało* od niechybnej sławy.

Jaki kaduk na swojej uwięzi go trzymał
Nie stwierdzono dotychczas — ale z faktów słynie,
Że wpływów dygnitarzy Kaliskich się imał,
Że miał *stale* w obozie magnatów w gościnie.

A kiedy szańce Woli wzięte już zostały
I bandyci wkraczali w Warszawy ulice —
Romarino cofając zbrojny korpus cały,
W Galicyi oręż złożył, przeszedłszy granicę.

I despotyzm rozszalał z uciechy na dobre,
I *stakany* herszt spełniał na pohybel naszą,
I *„kriepku wodku“* piło carskie wojsko chrobre,
Za nikczemność magnatów... za głupotę laszą.

Za czasów panowania Jana Kazimierza
Warszawa kilkakrotnie zajmowaną była,
A przecież zwartą siłą polskiego rycerza
Napowrót odbierana — niepodlegle żyła.

I nasz sławny Czarnecki nieraz był pobity,
Lecz z najezdcami kraju wciąż życie mozolił,
Zostawiając po śmierci przykład niespożyty,
Że zwyciężyć się wrogom nigdy nie pozwolił.

Ale wówczas *mniej była pycha zagrożona*
(Bo *naród* nie pojmował w Ojczyźnie swobody)
Więc i częściej z pośrodka magnateryi grona
Szły hasła dla obrony rodzinnej zagrody.

Lecz gdy stał się w historyi polskich bojów mężnych
Fakt hańby niesłyszanej, bezczelnej sromotą,
Gdzie broń składa sześćdziesiąt tysięcy orężnych —
Czyż fakt taki nie nazwać *co najmniej* głupotą?

Czyż wrogów sto tysięcy *w Warszawie skupionych,*
W centrum kraju dalekiem od siedziby carów,
Nie mogło grobu znaleść na polach skrwawionych,
I spustoszonych wojną — pożogą pożarów?

Nie mogło!... bowiem żyją, i męczą nas *w tłumie,*
I drwią ciągle szyderczo z Sarmackiej głupoty,
Która czując niewolę... *ocenić nie umie*
Szkodliwości nikczemnej, wewnętrznej hołoty!

Dla tego wśród skarżących moskiewskich krzyżyków,
Aby serca umocnić w moralności cnocie,
Pomódlmy się za dusze polskich wojowników,
Na rzeź danych *w rozmyślnej,* haniebnej... głupocie.

Kazimierz Zienkiewicz.

Sen Kulturtraegera.

(Fritz Schweinkopfen — znany ślązki przemysłowiec — przyszedłszy z posiedzenia hakatystów, którzy wyrazili votum zaufania polityce Schönererowców, zjadłszy suty obiad zdrzemnął się...)

Fritz Schweinkopfen, on z Germanji
Z pod Berlina ród swój wiedzie,
Na szeslągu się wyciągnął,
By się zdrzemnąć po obiedzie...
Po marzenia krótkiej chwilce,
Przeszedł w czarów świat uludny,
Zasuął lekko, zasnął błogo
I prawdziwie sen miał — cudny!

Śniło mu się że tuż przy nim
Przy szeslągu, gdzie spoczywa —
Stoi starzec a twarz jego
Zdobi broda długa siwa. —
I pochylił się nad śpiącym,
Uśmiech igrał mu na licu,
I łagodnym wyrzekł tonem:
„Słuchaj mnie, Schweinkopfen Fritzu!

Za twe życie bogobojne
W lata stare w lata młode,
Jak należy się — przychodzę
Dać sowitą ci nagrodę.
Do nagrody zalecają
Cię twe wielkie trzy zalety,
Primo: Wolfa, Schönerera
Tyś czcicielem jest bez mety,

A secundo że niemczyznę
Sadzisz tutaj na ableger,
Nie zważając na wymysły:
Gałgan, szelma, Kulturträger!
Najważniejsze jednak *tertio*.
Że przy słońcu, czy księżycu,
W każdej porze, w każdym razie
Jesteś... niemiec — dobry Fritzu...

A że życie twe mimo to
Często piekło tworzy — nie raj,
Trzy nagrody, jakie zechcesz,
Co mieć pragniesz — to wybieraj.

Zamilkł starrzec siwobrody
I stał mglisty — jako tuman:
Fritz Schweinkopfen ogłupiały
Długo, długo był zaduman...
Ze wzruszenia mówić nie mógł,
Choć miał mówić chęć najszczerszą —
I po długiej trudu chwili
Wyrzekł wreszcie prośbę pierwszą...

— Herr! gdy jesteś już tak łaskaw,
Więc mą prośbę głoszę biedną:
By grochowe kiszki*) swiata
Się złączyły w kiszkę jedną!

Oby kiszka ta grochowa,
Wielka, jako ziemia cała,
Nieskończona, bardzo długa
Tylko do mnie należała!...

— „Dobrze, wyrzekł siwy starzec —
Tak się stanie, jestem sługą
Twoich życzeń, więc je spełnię;
Lecz mów teraz prośbę drugą“..

— Herr! Niech wszystkie beczki z piwem,
Co posiada świat ten cały
Pękną — i by w wielką beczkę
Wszystkie piwa się przelały!

A ta beczka nieskończona,
Jakby bez dna i bezbrzeży —
Pełna zawsze, nieustannie,
Tylko do mnie niech należy!

— „Zgoda! wyrzekł siwy starzec —
Na twe prośby nie ma *veto*,
Tak się stanie więc, jak zechcesz,
Mów więc trzecią prośbę przeto“...

Fritz zamyślił się głęboko,
Snać mu myśl błysnęła nowa,
Wreszcie mlasnął był językiem
I odezwał się w te słowa:

— Herr! korzystam z twej dobroci,
Lecz czy pan się nie rozgniewa?
Trzecia prośba... więc ja proszę
Jeszcze jeden kufel piwa...

sz.

*) Specyal niemiecki coś w rodzaju narodowej potrawy. (Przyp. Red.)

O czem mam pisać?

Naprzód na górze tytuł szumny kładę,
A potem z fajki długie puszczam dymy.
O czem tu pisać? niech mi kto da radę.
Bo mi djabelnie dzisiaj idą rymy!

Niech pan napisze wierszyk o „kochaniu“,
Panna Jadwisia skromnie mi powiada —
Przecież to temat łatwy w wykonaniu.
Obrób go ładnie — to jest moja rada.

Pisz pan siarczysty poemat o wiośnie
Wieszcz długowłosy radzi mi z zapałem
Na polach panie piękna trawa rośnie
Idąc na spacer, wszędzie ją widziałem.

Pisz pan o zdradzie albo niewierności
Młoda mężatka szepcze mi do ucha —
Jak mąż zazdrosny łamie żonie kości.
Tragiczny temat — niech pan mię posłucha.

Pisz o złodziejach, albo o kradzieży,
Kratter przez tubę z za morza mi woła —
Podaj reguły jak „ściągać“ należy
A do więzienia nie dostać się zgoła.

Pisz o miłości ojczyzny satyry.
Stańczyk mi radzi z zdradzieckim uśmiechem.
Że wrogi nasze nie są jak wampiry,
Że kochać ziemię jest największym grzechem.

Pisz o mistycznej z obarzanka dziurze.
Dekadent wkońcu radzi mi zuchwale —
O nagiej duszy o ciała purpurze.
Byle niejasno i niezrozumiale!

Lecz co tu wybrać, na co się tu zgodzić,
Kiedy tematów pięknych tyle słyszę.
Już wiem! ażeby miernotę nie spłodzić
To ja najlepiej już nic nie napiszę!!

Hazet.

Dawniej a dziś.

niby jedno i to samo a inaczej się nazywa.

Dawniej mówiono:	Dziś mówi się:
Osioł.	Człowiek bez wyższych zdolności.
Oszustwo.	Operacya.
Złodziej.	Umysł nie rozróżniający pojęć własności.
Warjat.	Organizm roztrojony.
Bydle.	Człowiek poziomych instynktów.
Dureń.	Osłabienie nerwów.
Zbrodniarz,	Zboczenie umysłowe.
Poczciwiec.	Głupiec.
Naiwny.	Osioł.

Nie wszystkie więc wyrażenia wydelikatniały. Są i takie, co dziś ostrzejsze są niż dawniej.

DO WSZYSTKICH.

Dziś, gdy się letnie zaczęły już harce:
Majówki, wody, ogródki, spacery,
Zwróćcie uwagę młodzi i starce —
Na głos mój szczery!
Po dziesięć kufli nie pij bawarzysto,
Bo choć przy piwie masz wesołą minę,
Później na starość pozyskasz — na czysto
Wodną puchlinę!
Natomiast „czystą“ możesz pić dzień cały.
Lecz nie żytniówkę, lub alembikową.
Tylko zwyczajną — co sączy ze skały
Wodę zdrojową!
I wy panienki, panny i panicze,
Co w kraju męża znaleść nie możecie,
Pewno niedługo do wód za granicę —
Pofrunąć chcecie!
Oj! lepiej stokroć siedzieć cicho w domu
I nie wyzłacać wciąż obcym kieszeni,
Niż bez pieniędzy, bez męża w wód sromu —
Wracać w jesieni!
A ty młodzieńcze, co rycerskie harce
Na wynajętym wyprawiasz rumaku,
W żokiejskiej czapce, tudzież w marynarce
Końskiego smaku!
Uwolnij wzrok nasz od twej konnej jazdy,
Bo kiedy koń twój po mieście się szasta,
Zda się, żeś jeździec, lecz.. z pod ciemnej
[gwiazdy,
Rycerzu miasta!
I też żono nie jedź za granicę,
Jeżeli z męża pragniesz mieć pociechę,
Bo jeszcze obcą sprowadzi spódnicę —
Pod Twoją strzechę!
Więc dziś, gdy letnie zaczęły się harce:
Majówki, wody, ogrody, spacery,
Zwróćcie uwagę i młodzi i starce —
na głos ten szczery! —

J. Z.

Facecja Warszawska.

W alejach Ujazdowskich w Warszawie, przejechał tramwaj prosiaka. Wypadek ten zgromadził ciekawych. Policja Warszawska tresowana specjalnie na rozpędzaniu tłumów, zjawiła się w osobie stójkowego, który bez ceremonji łokciami i szablą rozpędzał lud, otaczający prosię, wołając przy tem: „gaspada razstupitjes.“ (Panowie rozejdźcie się). Na to przebija się przez tłum jakiś młody szewczyna i woła na głos: „Panowie prosię się rozejść, *bo pan stójkowy pragnie sam zostać przy koledze.*“!

Sulla.

Przed Handlem.

— Panie doktorze, czy pan ostrygi uważa za zdrowe?

— Bardzo zdrowe, przynajmniej w całej mojej praktyce nie leczyłem ani jednej.

Wino, wódka i kobiety,
Mają jednakie zalety.

Sulla.

Tylko...

Helu piękna — jak aniołek,
Zosia — słodka to panienka.
Józia — świeża niby fiołek,
Stefcia — zwinna jak sarenka.

Stasia — śpiewa jak skowronek,
Mania — świetnie figle płata.
Kazia — tańczy cały dzionek,
Mila — ósme cudo świata.

A Irena a Regina,
Władzia — Janka — Leontyna,
Wszystkie cenią swą urodę,
Wszystkie świeże, pulchne, młode...

To aniołków zastęp cały
Czegóż można żądać więcej?
Tylko rzeczy brak im małej
Posagu kilka tysięcy!!

Hazet.

CZERWIEC.

Rankiem w Czerwcu wschodzi słońce,
Dnie najdłuższe i gorące.
Upał znęca, pył i kurze,
Błyskawice, grzmoty burze.
Ogórkowy czas nas czeka.
Więc kto może — to nie zwleka,
Żegna miasto, bruk, ulice
I wyjeżdża na letnicę.
Ci zaś, którzy zostać muszą,
Powietrzem się dławią, krztuszą.
Spacer rzednie, ruchu mało —
Słońce pali — szpeci ciało,
Więc też panie o płeć dbałe,
Rekolekcje mają stałe.
Młodzież złota nura daje,
Przed Hawełką nie wystaje.
Brak popisu traci pole —
Zamierają wstrętne mole.
Po cukierniach dla ochłody,
Po dniach całych kręcą lody,
Mrożą kawę i sorbety
Piwo traci swe zalety.
Plac „szczepański“ się zieleni
Nowaljami przeróżnemi:
Szparag, szpinag, kalafiory —
Doczekały swojej pory.
Muchy rychle nas obsiędą
I dokuczać srodze będą.
Słowem w czerwcu rozmaitość
Złe i dobre da obfitość.

J. Z.

Mądre dziecko.

Bona (do Leonka). Widzisz, jakie śliczne oczka ma twoja nowa siostrzyczka.

Leonek. Cóż dziwnego, są całkiem nowe.

Dobra żona.

— Daj mi słowo, że po mojej śmierci już za mąż nie wyjdziesz.

— Umrzyj tylko, a potem zobaczymy.

Łamigłówka.

Z następujących ośmiu liter: a, a, i, n, ł, u, k, k, — ułożyć ośm oddzielnych wyrazów, których początkowe litery z góry na dół — dają znaczenie łamigłówki.

1. Nazwa ptaka — choć nie treli —
   Jednak głosem swym weseli.
2. Rodzaj soli — jest w aptece,
   Smak ściągliwy — gryzie, piecze.
3. Kto ją zdobył, lub posiada —
   Rzadko kiedy w życiu biada.
4. Tem imieniem świętych mamy,
   Po przydomku rozróżniamy.
5. Niby taniec, lecz niestety —
   Niewłaściwy dla kobiety.
6. Żołnierz dzielny, zuchowaty,
   Miała Polska gò przed laty.
7. Gdybym miał choć część połówki —
   Nie pisałbym łamigłówki.
8. Imię żeńskie, niem ochrzczone —
   Bierzcie radzę wam za żonę.

Całość:

Z końcem wiosny, głównie w lecie,
Osobliwie też w Krakowie,
Jak już z dawna o tem wiecie —
Niejednemu wadzi w głowie.

J. Z.

Znaczenie łamigłówki w N-rze 10 umieszczonej:

1. di-ak
2. O-tel-lo
3. Rej-tan
4. Ge-ne-zis
5. O-set
6. Re-na-ta
7. A-che-ron
8. Col-bert
9. Na-ja-dy.

Całość:

KONSTANTYN-CAROGRÓD.

Trafne rozwiązanie łamigłówki nadesłali: P. Małgorzata i Wincenty M. Kraków.

W Tramwaju lwowskim.

— Nie wiesz dla czego konduktorom zabroniono rozmawiać z publicznością w tramwajach?

— Jest takie przysłowie: żeby cię pieczono i smażono w smole — pie powiadaj co się dzieje w szkole.

— Ależ zarząd tramwajów to nie żądna szkoła.

— Ale szkoła — i to bardzo postępowa: tam tak uczą konduktorów odejmowania kar od pensyi, że zawsze im się nic nie pozostaje reszty.

Martwy kapitał.

Ona. Bardzo mi przykro panie baronie ale żoną pańską być nie mogę. Może jednak pocieszy pana myśl, że jestem zdecydowaną nie wyjść za nikogo.

On. No, ależ na Boga, cóż pani pocznie ze swoim ogromnym majątkiem?!

Dobry przyjaciel

nowella.

Pan Jan, urzędnik w prywatnem biurze, choć ma biurowe zdolności duże, lecz za swą pracę będącą w cenie, pobierał skromne uposażenie.

A jak ci którym szczęście nie świeci, unikające ludzi zasługi, ma chorą żonę, kilkoro dzieci i na dobitkę nie małe długi.

Lecz, że los czasem pociech udziela, pan Jan zbolały i skłopotany, oprócz rodziny miał przyjaciela, którego..., choćby przyłóż do rany.

Ten pan przyjaciel w rozmowie miły, niosąc Janowi swą przyjaźń w darze, zawsze narzekał na to co siły, że obdzierają Jana lichwiarze.

Wreszcie, że sam był w zamożnym stanie i że gwarancje miał niezwodnicze, raz rzekł:

— Tak cierpię nad tobą, Janie, że ci sto złotów*) zaraz pożyczę.

Śmierć już wyziera z twej żony twarzy, kredytu rzeźnik ci nie udziela, więc zamiast wpadać w ręce lichwiarzy, pożycz pieniędzy od przyjaciela.

— Dzięki mój zbawco, ty mnie z odmętu wybawiasz dzisiaj.

Przyjaciel szczery odparł:

— Na miesiąc dasz trzy procenta, a lichwiarz wziąłby z pewnością cztery. Masz, podpisz rewers na dwa miesiące.

Jan, co o życie żony się trwożył — chwycił pieniądze w swe dłonie drżące i na rewersie podpis położył.

* * *

Że Jana nędzy trapiło licho, gdy dwumiesięczny czas już upłynął, wszyscy lichwiarze siedzieli cicho, chociaż ich termin od dawna minął.

Ale przyjaciel, w którego pieczy nie jedno serce troska już żarła, — sprzedał słodziutko Janowi rzeczy, w chwili, gdy żona Jana umarła.

Czytelnik z tego z łatwością widzi i to w pamięci sobie uwieczni, że są czasami względniejsi żydzi, niż przyjaciele nasi serdeczni...

X.

*) Zł. w. a.

Im Bunde der Dritte.

Co Józef ukradnie, to jego
    Pomocnik Jan w worze ma skryte,
Żyd Icek te rzeczy kupuje,
    Ach kto on? — Im Bunde der Dritte!

Wół ryczy, gdy czuje się głodny
    I małpy, gdy tylko nie syte,
Wolff wrzeszczy i krzyczy okropnie
    Ach kto on? — Im Bunde der Dritte!

Ona cudowna jak anioł,
    On wlecze życie przeżyte,
Przyjaciel siedzi w ich domu
    Kto on? — Im Bunde der Dritte!

Hazet.

Między dwoma.

— Nie wiesz gdzie można nabyć tanie nuty?

— Do śpiewu czy do muzyki?

— Do śpiewu.

— No to idź na służbę de kolei, tam będziesz miał darmo nuty, bo musisz tak śpiewać jak ci każą.

* * *

— Nie słyszałeś co o wróżce, mieszkającej na Rybakach?

— O wróżce nie słyszałem, ale czytuję często wróżby w gazetach.

— A jakie?

— A jak nie będzie wojny, to będzie pokój.

Na plantach.

Czyli główną aleją idziesz, czyli boczną,
Wraz ci między nogi dzieci plątać poczną,
Czyli boczną aleją idziesz, czyli główną,
Dziatwa ci się pod nogi zaplącze zarówno.

J. Z.

W szkole ludowej.

Nauczyciel. Pędracki! Porównaj przymiotnik goły — naprzykład: goły jak...
Uczeń. Goły, jak turecki święty.
N. Źle — następny.
U. Goły, jak pasternak.
N. Źle — następny.
U. Goły, jak rak.
N. Osły jesteście — następny.
U. Goły, jak bizun.
N. Źle — jesteście wielkie osły.
U. Ja panie profesorze powiem — odzywa się chłopiec z oślej ławki.
N. No powiedz.
U. Goły, jak profesor!
N. Dobrze, siadaj.

x.

U doktora.

Okulista (kończąc badanie). Ale wy człowieku, musicie być już od dłuższego czasu chorym.

Chory. O, będzie już dwa roki...

Okulista. A dlaczegoż nie zgłosiliście się do mnie wcześniej?

Chory. E, przecie z okiem to śpasować nie można.

Z postępem.

— A cuz, dobrze ci we dworze Wojtek?
— Jo tera nie Wojtek, ino Groom!
— A na cem ze ty gros?
— E, kiejście tatulu głupi na to!
— Ty pędraku, chces ty w łeb...
— A bo to prawda, zaraz bym podał tatula do „Naprzodu“.

W zastępstwie.

Pewnego czasu przyszło dwóch wieśniaków do apteki. Jeden z nich zapytał aptekarza, czy nie ma jakiego lekarstwa na ból zębów.

— I owszem — odrzekł aptekarz — sięgnął po flaszeczkę z wyskokiem salmiakowym i dał wieśniakowi do powąchania.

Skoro tenże powąchał, zakręciło mu się w nosie tak, że mu — jak to mówią — „świeczki w oczach stanęły“.

Gdy oprzytomniał, pyta go aptekarz „Czy ból ustał?“

— Jegomość ta to nie umie, ale tego mego kamrata bolą zęby...

Wydawca i odpowiedzialny redaktor *Emil Borkowski.* Druk W. Korneckiego w Krakowie.